



ZANE GREY ARIZOŃSKI KLAN



BIBLIOTEKA
SZLAKIEM PRZYGODY
ANDRZEJA

4

ISBN 978-83-64701-86-3

Zane Grey

ARIZOŃSKI KLAN



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jeźdźców purpurowego stepu*. Powieść okazała się bestsellerem i po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni człowiek z prairii*, a kariera Greya nabrała niepohamowanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarń zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.

Zane Grey



ARIZOŃSKI KLAN

Przełożyła Małgorzata Milczarek

Dwudziesta dziewiąta publikacja elektroniczna wydawnictwa JAMAKASZ

Czwarty tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuły oryginału angielskiego: *Arizona Clan*

© Copyright for the Polish translation by Małgorzata Milczarek, 2015

16 ilustracji, w tym 3 kolorowe: Damian Christ

© Copyright for the cover and inside illustrations by Damian Christ, 2015

Redakcja i korekta: Marzena Kwietniewska-Talarczyk

Przypisy: Małgorzata Milczarek, Andrzej Zydorczak

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2016

ISBN 978-83-64701-86-3

Rozdział I

Każdy następny dzień przebytej drogi łączył Mercera coraz bardziej z nowym krajem. Miał za sobą tak wiele dni przejechanych na koniu między ranczami hodowców bydła w Kansas a tymi wysoko położonymi, rozległymi ziemiemi Arizony, że dawno już zapomniał, ile ich było. Musiał już nawet drążyć w pamięci, aby przywołać zamgloną w jego świadomości przeszłość. Nie było mu przykro, że zostawiał wszystko za sobą. Czuł nawet, że mógłby popatrzeć w oczy każdemu tak prosto, jak patrzył, gdy był zmuszony do użycia broni w tamtych ostatnich, jakże trudnych czasach w Kansas. Ale teraz wydawało mu się, że najlepszą rzeczą, którą mógł zrobić, by zostawić przeszłość za sobą, był właśnie wyjazd na te odległe, bezludne ziemie. W głębi serca czuł, że realizować swoje mgliste, niesprecyzowane marzenia może tylko na nowych, nieznanym sobie terenach. Bo przecież wiedział, że nie jest tym człowiekiem, za którego brano go w Kansas.

Przez cały dzień jego koń Baldy¹ biegł w dół krętą, wyboistą, rzadko uczęszczaną drogą, na której ślady kół były ledwo widoczne. Obrastały ją ogromne, ciężkie sosny, zasłaniając widok, ale czasami pojawiające się w lesie głębokie wyrwy i przepaści pozwalały popatrzeć w dół na majestatyczną, niebiesko-czarną dolinę, powyżej której, jak zawieszono w powietrzu, pojawiały się nagle szczyty górskich pasm. W odległej perspektywie, gdzieś na wysokości uginających się sosen, wyrastały ogromne cedry i jałowce, spomiędzy których przebłyskiwały łąty czerwieniejącej manzanity² i lodygi agawy³ ze szpiczastymi czubkami wyrastającymi wysoko ponad wierzchołki drzew. Rozpościerała się tam gęstwina dębów i sosen, a w parowach i wąwozach – platanów i klonów.

Ponad tym wszystkim zawiśł ospały letni dzień. W dole było upalnie i sucho, a zapach powietrza, który uderzył w Mercera, był tak intensywnie gorący, jakby dobywał się z otwartego pieca. Las spał. W czerwonym kurzu wzdłuż drogi Mercer widział więcej szlaków jeleni niż szlaków bydła. Dwa dni temu pewien poznany na szlaku myśliwy opowiadał mu nawet o polowaniu. Jakaż to dla niego odmiana! Polować na sarny i niedźwiedzie zamiast na złodziei bydła albo samemu być celem zapitych, notorycznie szukających zwady kowbojów i jeźdźców, a nawet mieszkańców miast z pogranicza.

Baldy był zmęczony i kuśtykał, ale nie opóźniał jazdy. Gdzieś przed nim była przecież zielona trawa i czysta, zimna woda. Mercer także był bardzo znużony całodziennym, niekończącym się siedzeniem w siodle albo traktowaniem siodła jak poduszki podczas długich nocy. Był też głodny jak jeździec łapiący zwierzynę na łąso, jeżdżący od jednego stada krów do następnego.

Wtedy zaczął się obawiać, że spędzi następną noc na szlaku. A przecież gdzieś tam w dole powinieli wkrótce napotkać ranczo albo miasto, albo tartak, tak jak mu mówiono. Nagle Mercer zauważył, że droga doprowadziła go do szerokiego rozwidlenia, gdzie skalistym korytem płynął wartki strumień. Gdy wchodził w jego czystą wodę, był równie zadowolony

¹ Baldy (ang.) – lisy.

² Manzanita (z hiszp. – jabłko) – drzewo lub krzew o zawsze zielonych liściach i czerwonych owocach; istnieje ponad 100 odmian tej rośliny; Kolumb nazwał ją „jabłkiem śmierci”, ponieważ zarówno owoce, jak i liście, a nawet dym ze spalonego drewna mogą być trujące.

³ Agawa – sukulenta o grubych, mięsistych liściach i bardzo krótkiej lodydze; zakwita tylko raz, po czym usycha, ale z jego korzeni wyrastają najczęściej nowe liście; występuje w południowej części Ameryki Północnej w około 100 odmianach.

jak Baldy. Po tym jak poczuł chłód wokół stóp, rozciągnął się na płaskiej, gorącej skale i pił tak długo, aż stwierdził, że więcej już nie da rady. Co za wspaniała, zimna, życiodajna woda! Baldy pił tak długo, że Mercer zaczął się obawiać o całość jego brzucha. Zaspokoiwszy pragnienie, przebrnęli przez potok na drugi brzeg, w cień platanów.

Zrobiło się bardzo przyjemnie. Przepływ mrugającej w słońcu wody był jedynym dźwiękiem zakłócającym ten odwieczny leśny spokój. Wkrótce słońce zatopiło swój blask za barierą z gór na zachodzie. Mercer wytarł spoconą twarz i pomyślał o twardych sucharach i wysuszonej kukurydzy, znajdujących się w torbach przytroczonych do siodła.

Nagle ciszę przerwało stuknięcie niepodkutego kopyta o kamień. Zza zakrętu wyszedł starszy mężczyzna prowadzący osiołka. Był niewysoki, siwy i pochylony. Osiołek dźwigał beczki z wodą, przytroczone do siodła po jednej z każdego boku. Mężczyzna rzucił Mercerowi ostre, ale dość przyjazne spojrzenie swoich przymrużonych, wąskich oczu.



- Się masz, obcy – powiedział dość bezpośrednio.
- Się masz – odpowiedział powoli Mercer.
- Gorąco i sucho, nie? Jak tak dalej pójdzie, ta ziemia wkrótce zapłonie. Nigdy nie widziałem tak niskiego stanu wody. – Starzec zaczął rozsypywać rzemień przy jednej z przytroczonych baryłek.
- Mój koń i ja jesteśmy diabło spracowani. Znasz jakieś miejsce niedaleko, gdzie mogliśmy się zatrzymać na noc?
- Jasne. Zapraszam do mojej chałupy – zaciągnął z teksańska stary. – Ale to nic nadzwyczajnego. Jest też taka jedna gospoda w Ryeson.
- Dzięki. Pojadę do Ryeson, jeśli to nie jest daleko.
- Mniej niż dwie mile.
- W porządku. Dzisiaj jestem szczęściarzem. Co to za miejsce to Ryeson? Miasto, tartak czy obozowisko kowbojów?
- Co ty? Ryeson to duże, otwarte dla wszystkich miasto. Są tam dwa saloony, prócz tego gospoda, sklep Sama Walkera, sklep braci Timms i sklep kowalski Hadleya oraz kościół, urząd miasta i szkoła w jednym. No i z tuzin domostw, jak sądzę...
- Całkiem niezłe – przerwał zamyślony Mercer. – A są jakieś rancza?
- Pewnie. Kilka w dole doliny.
- Naprawdę? Zdziwiasz mnie. Nie wziąłbym tego miejsca za ziemię zamieszkaną przez właścicieli bydła.
- No, byłoby rośnie i tłuszcije na wyżynach. Wody i trawy nie brakuje, jeśli jest lato, jest co skubać...
- Nie mów. To interesujące. A gdzie teraz hodowcy pędzą bydło?
- Maricopa⁴. Na południowym paśmie górskim, około dwustu mil stąd.
- Fiuuu! To dziki kraj. Co tu jest poza bydłem?
- No, są jeszcze Injuns⁵, trochę niedźwiedzi, kuguarów⁶, dzikich indyków, jeleni.
- Tak, myślę, że się tutaj zatrzymam. Ale czy znajdę jakąś pracę dla siebie?
- Do wyboru, do koloru, jeśli nie jesteś zbyt wymagający w kwestii pieniędzy. Każde sprawne ręce znajdują tutaj zajęcie. Kłopot w tym, że te młode byczki nie chcą pracować. Dużo interesów kręci się dookoła Ryeson, ale niewiele pieniędzy.
- To powiedz, gdzie szukać jakiejs pracy. Wolałbym raczej być dalej od miasta.
- Wiesz, kiedyś słyszałem jak Rock Lilley rozgłaszał wszem i wobec, że nie ma nikogo, kto ścinałby jego sorgo⁷.
- Sorgo? Co to takiego?
- Nigdy o tym nie słyszałeś? – spytał staruszek z ostrym błyskiem w oczach.
- Nigdy, proszę pana.
- Hm, przypuszczam też, że nigdy nie słyszałeś o białym mule, co?
- Masz na myśli zwykłego, białego muła? Zostałem przez jednego kopnięty.

⁴ *Maricopa* – równina z kilkoma pasmami górskimi, rozrzucona na powierzchni od 15-30 km, położona na wysokości około 540 metrów n.p.m.

⁵ *Injuns* – pejoratywna nazwa Indian amerykańskich.

⁶ *Kuguar* (pantera florydzka, lew górski) – inne nazwy pumy (*Puma concolor*, *Felis concolor*), zwierzęcia z rodziny kotowatych, zamieszkującego Amerykę od Kanady po Patagonię, największego (po jaguarze) przedstawiciela kotowatych w Ameryce.

⁷ *Sorgo* (*Sorghum*) – rodzaj z rodziny wiechlinowatych (traw), z około 25-30 gatunkami roślin zielnych z obszaru międzyzwrotnikowych; ważna roślina zbożowa, pastewna i przemysłowa.

– Niezupełnie. Ten biały muł nie jest w żadnym razie zwykły. On cię może kopnąć jak cholera... No dobrze, jak mówiłem, Rock Lilley krzyczał, że żaden z jego chłopaków nie został w domu i nie ścina sorgo. Rock ma sześciu chłopców i nie wiem ile dziewczyn. Kto jak kto, ale oni są z pewnością prawdziwą teksańską rodziną.

– Jaki interes prowadzi Lilley, ma ranczo?

– Pewnie, ma kilka stad bydła. Rzadko gnają je do Maricopy. Zabijają zwierzęta na wólowinę albo sprzedają. Wiele czasu spędzają, polując na niedźwiedzie.

– Jeśli Lilley z tego żyje, to czy zechce płacić jeźdźcowi?

– Ho, ho. Nie umiem ci odpowiedzieć. Rock i jego rodzina są w porządku. On ma również córkę, która wraca od ciotki z Teksasu. Widziałem ją kiedyś i wierz mi, chciałbym znów być młody.

– Cholera! Lepiej mi być dodeg⁸ niż jednym z chłopaków Rocka! – wykrzyknął nieco zniechęcony Mercer. – A co z innymi hodowcami bydła?

– Mógłbyś spróbować u Simpsona, po drugiej stronie doliny.

– Kim on jest?

– Tak samo jak Lilley. Nie jest też biedny.

– Lepiej byłoby uderzyć o pracę do niego?

– Pewnie, ale Simpson nie wynajmuje jeźdźców od czasu, jak ja nim byłem, czyli od jakich dziesięciu lat albo lepiej.

– Aha, rodzina równie duża jak Lilleyowie?

– Więcej jak duża.

– Myślę, że jednak myliłem się, sądząc, że to mój szczęśliwy dzień – zauważył Mercer, wstając. – Dużo obowiązków, dziadku, czas na mnie.

Ruszył, prowadząc Baldy'ego, i usłyszał jeszcze wołanie staruszka:

– No, młody człowieku, życzę ci, byś nigdy nie dostał kopa od tego białego muła.

– Zabawny facet. Ciekawe, co to jest ten biały muł? Jakiś żart? – monologował Mercer.

Droga prowadziła wzdłuż potoku, wijąc się pod malowniczymi starymi platanami i rosnącymi to tu, to tam sosnami. Mercer uważnie patrzył poprzez drzewa, usiłując zlokalizować chatę starego, ale niczego nie udało mu się ustalić. Trakt odchodził w górę od strumyka, aby zniknąć gdzieś w lesie.

Podczas samotnej wędrówki Mercera zachodzące słońce migotało magicznie poprzez drzewa, a powietrze stawało się coraz chłodniejsze. Lubił czuć góry wszystkimi zmysłami, a teraz jeszcze zaintrygował go słodki, suchy zapach doliny.

Było już prawie ciemno, kiedy droga doprowadziła go na otwartą przestrzeń i wtedy odkrył, że właśnie dotarł do wioski. Domy w ciemnych kolorach, niektóre oświetlone, stały w jednej linii, tworząc bok rozległego, kwadratowego placu. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył grupę ludzi stojących przed wejściem czegoś, co wyglądało na duży sklep. Budynek miał z frontu wysoką tablicę z nieczytelnym napisem. Obok w mroku, na pokrytej kurzem drodze stały konie. Mercer zauważył czterokołowy powóz i platformę i nagle usłyszał dźwięk cichych głośów.

Mercer szybko poczuł klimat tego miejsca. Poznał już takie pograniczne miasta w chłodne letnie wieczory, kiedy ich spokój wydaje się obciążony czymś nieprzewidywalnym. Powoli zbliżył się do chłopca stojącego na skraju tłumy.

– Johnny, czy znajduję tu jakiś posiłek i spanie dla siebie i mojego konia?

⁸ Dodge (ang.) – unikać, wymknąć się, ograć itp.

– Jasne, proszę pana. Zaprowadzę pana do gospody, a Lemme zabierze pańskiego konia – chętnie odpowiedział młodzieniec.

– Co tam się stało, chłopcze? – zapytał Mercer, wskazując na tłumnie zgromadzonych mężczyzn.

– O, nic wielkiego. Tylko Sim Perkins ostatni raz popatrzył na białego muła, jak mówi mój tata – odparł chłopak, prowadząc Mercera w poprzek rozległego placu.

– Ostatnie spojrzenie, mówisz. To musiał być całkiem solidny kopniak, nie?

– On nie żyje, proszę pana. W saloonie Ryana trochę sobie postrzelali. Niektórzy mówią, że zrobił to Buck Hathaway, ale on zaprzecza.

– Taka fajna zabawa w strzelanie, co? Czy takie imprezy zdarzają się tu często?

– Na tyle, by powstrzymać rozrost populacji, jak mówi tata – odpowiedział ze śmiechem chłopak.

– A gdzie jest jakiś szeryf?

– Nigdy go tu nie widziałem. Podobno siedzi gdzieś koło Maricopy.

– No cóż, z tego widzę, że Ryeson wydaje się bardzo interesującym miastem, Johnny. A właściwie co to jest ten biały muł?

– Jeśli pan nie wie, to ja panu nie powiem. Oto jesteśmy na miejscu. Niech pan idzie w prawo. Kolacja jest gotowa. Mama dzwoniła już jakiś czas temu. Zajmę się pańskim koniem.

Mercer wszedł na rozwalający się ganek, a potem do ciemnego holu, z tyłu którego ukazało mu się pomieszczenie oświetlone przymglonymi światłami. Wszedł powoli do środka. Dwaj mężczyźni jedli przy długim stole. Przez inne drzwi weszła kobieta.

– Dobry wieczór pani. Szukam kwatery dla siebie oraz odrobiny miejsca i garści obroku dla mojego konia.

– Kiedy pan wszedł? – zapytała, ostro świdrując go spojrzeniem, które pasowało jak ulał do jej głosu.

– W tym momencie. Pani syn mnie przyprowadził.

– Proszę usiąść – odrzekła już bardziej ugodowo. – Przyniosę kolację.

Mercer zajął miejsce naprzeciw dwóch mężczyzn, z których jeden rzucił mu obojętne spojrzenie. Lampa rzucała żółty blask na twarze mężczyzn, które na pewno nie należały do hodowców bydła. Zanim spojrzeli na twarz Mercera, obaj szybko zarejestrowali, gdzie i jak trzyma on swoją broń.

– Dobry wieczór panom – powiedział Mercer i rozparł się wygodnie na siedzeniu.

– Się masz, obcy – odparł starszy z nich.

Mercer poczuł wobec tych ludzi bardziej ciekawość niż niechęć i przypominając sobie zgromadzenie przed sklepem, zrozumiał, że obcy nie są czymś niezwykłym w Ryeson. Właścicielka przyniosła kolację, która była gorąca i tak smaczna, że Mercer nie traciłby czasu na rozmowę z mężczyznami, nawet gdyby oni byli na nią chętni. Ale nie byli. Skończyli kolację i wyszli.

Podczas gdy Mercer oddawał się jedzeniu, chłopak wrócił, przynosząc mu juki i płaszcz.

– Przyniosłem pana rzeczy – powiedział. – Położę je w pokoju.

Pchnął drzwi otwierające się do środka pokoju.

– Jak tam mój Baldy? – zapytał Mercer, kiedy chłopiec wrócił.

– Założę się, że owsa to on nie widział od dawna. Fajny konik, proszę pana. Dobrze się nim zaopiekowałem.

– Tom, gdzie jest ojciec? – zawołała z kuchni kobieta.

– Jest na drodze.

– Więc biegnij po niego, niech przyjdzie na kolację. Strzelanie już było, teraz jest jedzenie.

Młodzieniec mruknął znacząco do Mercera i wypadł do ciemnego holu. Mercer skończył posiłek i wstał, kierując się do pokoju po płaszcz. Pomyślał, że mógłby poczekać, aż ojciec chłopaka wróci. Przez chwilę jeszcze zwlekał, a potem wyszedł i stanął na ganku. Widział stąd plac i zauważył, że było tu teraz więcej światła i hałas brzmiał donośniej niż przed kolacją. Ludzie i konie cały czas byli w ruchu. Kilku mężczyzn przechodziło obok, rozmawiając o tym nieprzyjemnym wydarzeniu, o którym wspominał chłopak. Usłyszał również kobiecy śmiech. Po przeciwnej stronie placu dostrzegł ludzi w jaskrawo oświetlonym sklepie.

Mercer przespacerował się tam również, chcąc zrobić zakupy, niezbędne po długiej podróży. Duży sklep nie wyglądał jak inne, które kiedykolwiek widział wcześniej, chociaż nie mógłby od razu powiedzieć, na czym ta różnica polegała. Wydawał się typowym przygranicznym sklepem handlującym czym się dało, ale jednak było w nim coś, co różniło go od innych tego rodzaju lokali. Stanął w kolejce i obserwował innych klientów. Jego zaciekawione spojrzenie spoczęło w końcu na pociągającej, ładnej kobiecie, która właśnie weszła do środka ze swoim towarzyszem. Wyglądała na osobę lubiącą nietypowe, ryzykowne sytuacje. Oboje chichotali i rozmawiali o tańcach, które miały się odbyć tej nocy. Mercer, choć zaciekawiony, odwrócił się jednak do nich tyłem, nie chcąc, by zwrócili na niego uwagę. Postanowił, że będzie unikał kłopotów. Całkiem inaczej, niż bywało w Kansas i Panhandle⁹. Tam pracował na swoje problemy, które rozwiązywał, wspomagając się sprytem i niesłychanym talentem do unikania konsekwencji swoich wyborów. W ten sposób zapracował na przezwisko „Dodge”. Odwrócił się więc od obfitokształtnej piękności o wyzywającym spojrzeniu ze smutną konstatacją, że nie spojrzy na nią nigdy więcej.

W końcu doczekał się swojej kolejki, a później zaniósł zakupione rzeczy do swojego pokoju. Światło lampy ukazywało prawie puste pomieszczenie z łóżkiem, ławką i umywalką, które jemu wydało się jednak luksusowym pokojem hotelowym.

Po pewnym czasie Mercer wyszedł z gospody i skierował się do najbliższego saloonu. To miejsce przynajmniej posiadało pewne znane mu cechy: mgliste obłoki dymu, zapach rumu, szmer rozmów i widok silnych, nieokrzęsanych mężczyzn. Niezwykle dla Mercera było to, że nikt nie zwrócił uwagi na jego wejście. Fakt ten przyjął z ulgą, a nawet poczuł się komfortowo.

Miał zamiar napić się porządnego alkoholu, ale bar był tak zatłoczony, że przebicie się przez tych starszych, silnych, spracowanych mężczyzn nie wydawało się możliwe. Znalazł więc miejsce w rogu pomieszczenia, usiadł i całym sobą obserwował rozgrywaną się przed jego oczami scenę. Mężczyźni, którym się przyglądał, przyciągnęli jego uwagę wzrostem, kabląkowato wygiętymi nogami i czerwonymi twarzami o wąskich oczach. Swym wysokim wzrostem przypominali Mercerowi teksańskich kowbojów, chociaż i Arizona hodowała sporych chłopaków. Jednak mogli to być Teksasczycy, słyszał bowiem, że sporo ludności z Lone Star State¹⁰ przywędrowało w te strony.

Największa jednak część bywalców saloonu u Ryana to byli ludzie z prowincji, wykorzystywani do ciężkiej pracy. Kilku z nich nosiło ubiór ze skóry kozła. Wielu było typowymi

⁹ *Panhandle* – wąski obszar połączony z większych; najbardziej znany to Floryda.

¹⁰ *Lone Star State* (ang.) – Stan Samotnej Gwiazdy, przydomek stanu Teksas.